Rogowicz Hedda

WACŁAW ROGOWICZ.

HEDDA

POEMAT.

WARSZAWA.
M. BORKOWSKI.
1903.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 28 Ноября 1902 года.

JÓZEFOWI JANKOWSKIEMU,

kierownikowi pierwszych moich kroków na niwie poetyckiej, „Heddę“ w wyrazie szczerej wdzięczności poświęcam.

Wacław Rogowicz.

Warszawa, 2 Grudnia 1899 r.

Na morzu cisza. Lekko kołysane,
Półsennym rytmem uderzają fale,
Zwarły się grzbietem, rozsypały pianę
Kaskadą pereł po zaklęsłym wale
I, w miękkich krzywizn łamiąc się zagięcia,
Powiewnym ruchem, jak ruchy dziewczęcia,
W rozbieżne strony odprysły od siebie,
Tonąc w bezbrzeżu sinawej równiny.
Nad morzem zawisł jakgdyby płaszcz siny.
Wicher nie jęczy w uciszonem niebie,
Z głuchą wściekłością przestworów nie targa —
Smutna Aegira nie rozbrzmiewa skarga.
Pobladły księżyc w srebrzystej kąpieli
Zda się matową zanurzać kopułę.
Dziwny czar nocy pieści zmysły czułe
Symfonją ciszy w księżycowej bieli.

II.

Cisza. Wyjrzała z obłocznej opony
Tarcza miesięczna i, smutnemi oczy
Objąwszy wodny bezmiar rozemglony,
Splotem go tknęła swych srebrnych warkoczy.
I drgnęła fala, jakgdyby spragniona
Tych pocałunków, nieuchwytnych, drżących,
Chwyta je, tuli do zimnego łona —
I cały legjon fal, dotąd drzemiących,
Po te całunki, trącając się wzajem,
Spieszy szemrzącym, perlistym ruczajem.
Aż się spiętrzone tworzą szańce wodne,
Pną się ku górze, zdobne w piany śniegi,
I z głośnym pluskiem, jak potwory głodne,
Piasczyste wyspy opuszczonej brzegi
Zlewają, rwąc się z niewstrzymaną siłą.
Rybackie czółno, u brzegu drzemiące,
Brzuchaty kadłub gniewnie poruszyło,
Sypiąc dokoła odprysków tysiące.

Sprężysta lina w niewoli je trzyma.
Czasem łańcuchy zaskrzypią znienacka
Przed pochylonym dachem nizkiej chaty,
Gdzie, w mech odziana siwy i brodaty,
W ziemię zapada siedziba rybacka.
Pusto przy chacie. Śladów życia niema.
Białawe płachty miesiąc rozsrebrzony
Kładzie na ławy śpiącego wybrzeża,
Surowość wydmy piasczystej uśmierza
I leje modre blaski na wsze strony.
Do wnętrza chaty tajemniczy, drżący
Wkradł się przez szybę, jak nocne widziadło,
Rzucił cień ramy na komin drzemiący —
I wlepił w ciemność wielką twarz wybladłą.

III.

W zimnych odblaskach tłumionemi ruchy
Ludzka się postać krzątała po izbie;
Czasem się rozległ skrzyp naglący, suchy
Świerszcza za ścianą; to znowu po przyzbie
Mysz przeleciała i dalej wzdłuż ściany
Z szelestem biegła do kryjówki znanej.

A zresztą — cisza. Jakaś dłoń niepewna
Odmyka okno, i w ciemnym otworze
Postać dziewczyny, wysmukła, powiewna
Wzrok wytężony kieruje na morze.
W zadumie siada na okiennej ramie,
Do góry wznosi przecudne ramiona —
I giestem bólu alabastry łamie.
Kształtną jej główkę opływa korona
Ciemnoblond splotów i otokiem czoła
W faliste, miękkie linje się układa.
Twarz jakaś tęskna, zadumana, blada
Daje jej pozór białego anioła.

W ustach, wyciętych z płatka róży sennej,
Rozsłoneczniona tak wielka pogoda
I taki wielki ocean słodyczy,
Jakby zaprawdę ta dziewczyna młoda
Mrokom wszechnędzy była, jak brzask dzienny.
W ciemnych błękitach jej oczu któż zliczy
Błyski dobroci, serdecznej prostoty?
Cała jej postać — jeden promień złoty
Utkany z wdzięku, rozkoszy i czaru.
Kiedy rzęs ciemnych opuści zasłony,

Wygląda, jakby uśpiona królewna:
Taka świetlana, ach i taka rzewna,

Że chciałbyś upaść na klęczki wzruszony
Nie śmiejąc budzić w niej uczuć pożaru,
Wzrokiem pić tylko czar zjawiska tego,
Jakby postaci z obrazów Dolci'ego.

IV.

Hedda się zwała. Kaprysem natury
Wyrosła lilja między kaktusami,
Bielsza, niż białe Carrary marmury,
Ciałem i duszą. Atlantyk burzami,
Gdy była dzieckiem, kołysankę śpiewał.
Ojciec — rybakiem. Życie dała matka
Jednej dziecinie i poszła, gdzie zwiewał
Wichr lotne piaski z mogił usypiska.
Została sama. W ojcu miała — dziadka:
Bo stary Hamsun już w szóstym krzyżyku
Doczekał córki. A że starość blizka
Samotna prawie śmiercią mu się zdała —
Więc szczebiocące ptaszę, Hedda mała
Była mu wszystkiem. On, co w burzy ryku,
W zażartej walce z surowym żywiołem
Życie przetrawił i z morzami społem
Stał się surowy, zamknięty, ponury —

Dla swojej Heddy, dla maleńkiej córy,
Był, jak baranek. Niedostępny prawie
Dla ludzi, szorstki, dziki — gdy w zabawie
Włos mu targały rączęta dzieciny,
    Śmiał się z niem razem. Na ręce, od liny
    Twardych uścisków zgrubiałe, pocięte,
    Swoją pieszczochę brał, i niepojęte
    Przezeń samego jakieś rozrzewnienie
    W piersi szerokiej wzdymało się nagle.
I ten wilk morski czuł przestrachu drżenie
Na myśl, że może, jak huragan żagle,
Los zniszczyć jasną lampę jego życia.
  Wtedy kładł Heddę, dobywał z ukrycia
  Pożółkłą książkę i modlił się szczerze:
   — Niech mi Bóg morze i słońce zabierze,
   Byleby tylko zostawił mi dziecię:
   To jedno tylko mam dzisiaj na świecie! —
I Bóg widocznie modlitwy Hamsuna
Słuchał litośnie. Mimo mroźne tchnienie,
Co od Lofodów szło, aż z pod bieguna,
Wątła dziewczyna rosła, jak marzenie,
Codzień piękniejsza. Już w czternastej wiośnie
Była dla ojca rzetelną pomocą:
    Gospodarzyła w chacie; nieraz nocą
    Długo czekała — i zawsze radośnie

Witała starca, gdy połów obfity;
A gdy widziała, że chmurny, przybity,
To mu cichutko przynosiła jadła,
Siadała przy nim, dopóki nie skradła
Mgły rozchmurzenia z opalonej twarzy.
Potem w kominie roznieci i gwarzy,
Sieci łatając, na kołkach rozpięte.
Oczy się świecą, żywe, uśmiechnięte.
I dziwny urok uśmiechy te miały:
Przód, niźli usta, oczy jej się śmiały,
Gdy mowy żywość rumieńcami płonie.
Wiedziała Hedda, że w północnej stronie
Od ich wysepki jest miasto. W tę stronę
Rybak się zwracał, gdy owoc połowu
Na targi woził. Rychło wracał znowu
Do swej siedziby, czółno opróżnione
Wiązał u słupa i składał zapasy
Wraz z gościńcami dla swojej dziewczyny.
Prosiła nieraz: — Drogi mój, jedyny
Ojciec mnie weźmie, gdy za skał tych lasy,
Co na północy, płynąć czółnem będzie? —
Prośba daremna. — Wezmę Heddę wszędzie,
Lecz nie do miasta. — Strach jakiś bezwiedny
Czuł przed zgiełkliwem rojowiskiem ludzi.
Czasem przeczucie strach taki w nas budzi.
Ten dziwny instynkt miał i rybak biedny.

V.

Płynęły lata. Hamsun się pochylił.
Hedda wyrosła, jak smukła topola.
Z oczu jej znikła figlarna swawola.
Zakwitł w nich wyraz głęboki i cichy,
Jak w księżycową noc lilji kielichy,
I smutku pełen. Starzec się nie silił
Odgadnąć dziwnej zadumy powody
I nie przypuszczał, że w tej duszy młodej
Jakieś nieznane jej dotąd pragnienia,
W wyraźne kształty nieujęte wstały
I wielkim życia krzykiem zawołały.
Nie zważał na to; ręką od niechcenia
Machnął: — Et, przejdzie. Wróci spokój, wróci. —
Lecz nie powrócił. Dziewczę wciąż się smuci.
I oto siedzi dziś w oknie strwożona.
Pod śnieżnym rąbkiem pierś jej tak faluje,
Jak u ptaszyny, kiedy, wyrzucona
Z gniazda, bezbronność całą swą uczuje.
Jakaś bezradność w tem rąk załamaniu,
Taka bolesna, taka żałośliwa,
Jak wzrok ranionej sarny przy konaniu.
W rysach znać walkę. I nagle się zrywa

W piersiach niezłomnej stanowczości siła.
Prysło wahanie. Hedda odsłoniła
Twarz, i z westchnieniem płynie w przestwór siny
Boleścią wielka skarga z ust dziewczyny:

VI.

Przeklnij mnie, ojcze! Na tom zasłużyła:
Wierzę, że za to przeklniesz i Ty, Boże! —
Lecz stać się musi, musi... Żadna siła
Od tego czynu odwieść mię nie może.
Wiem, że to, ojcze, wobec ciebie zbrodnia,
Kiedy mnie w chacie nie znajdziesz o świcie
Wiem: szukać będziesz Heddy swojej co dnia
I pytać będziesz wszystkich o swe dziecię;
Z sercem przebitem powrócisz do domu
I zamrzesz może — i nie będzie komu
Pogrześć cię, ojcze! Pragnąłeś mieć zięcia,
Wiem, z okrętowej przystani locmana.
Nie!... Gdy przypomnę te oczy Kryszana,
Bezbarwne, rybie — nie!... W jego objęcia?...
Lepiej — do morza!... Nie wiem, może wstrętu
Dońbym nie czuła, gdyby nie ta postać,
Cudem wyraźnym z czarnego odmętu
Na brzeg rzucona... Tak: mogłabym zostać

Kryszana żoną — gdyby nie on! Pomnę,
Jak dziś, te chwile. Morze zda się wściekło:
Góry bałwanów z rykiem tak rzucało
Jedną na drugą, jakby całe piekło
Harce tej nocy dzikie wyprawiało.
Spiętrzone gmachy, jakby nieprzytomne,
Waliły w siebie. Burza się rozżarła
Na morzu, w niebie. Co chwila zygzaki
Kir stropu darły i z krwawego gardła
Ogniem buchały i hukiem. W czas taki
Najśmielszy sternik nie wsiądzie do łodzi,
Bo go niechybna śmierć w bałwanach czeka.
Nad ranem ścichło. Ojciec w zwykłą stronę
Wyszedł obejrzeć, czy nie uszkodzone
Czółno. Powraca. Czy wzrok mię zawodzi?.
Niesie na rękach do chaty — człowieka...
Czy też upiora, widmo. W pierwszej chwili,
Gdyśmy go w chacie na tapczan złożyli,
Wyglądał strasznie: ściekająca woda,
Włosy zlepione, zakrwawione skronie,
Na twarzy błoto (twarz to była młoda,
Szczupła), zamknięte oczy. W pełne dłonie
Nabrawszy wody, poczęliśmy cucić,
Aż się udało do życia przywrócić.
Otworzył oczy — i pierwsze spojrzenie
Na mą twarz padło. Jakieś słodkie drżenie

Mną owładnęło: takie cudne oczy...
On moją rękę chwycił i całować
Jął z uniesieniem. Ze wstydu w warkoczy
Snop rozpuszczonych musiałam twarz schować.
Nic mówić nie mógł jeszcze w owej porze
I tylko ręką wskazywał na morze,
Co go rzuciło na nasze wybrzeże.
Wieczorem jadł już wraz z nami wieczerzę,
Odzyskał mowę i całą przygodę
Nam opowiedział: — Jak umyślnie w burzę
Wybrał się czółnem na spienioną wodę,
Żeby zobaczyć zblizka, jak w naturze
Walka żywiołów wygląda. Junaka
Znalazł locmana, młodego chłopaka,
Co za sto koron podjął się wyprawy.
Morze łódź na grzbiet chwyciło cisawy.
Potem — nic nie wie. Paszcza się rozwarła
I obu z czółnem strzaskanem pożarła. —
Zmęczony upadł na tapczan; za chwilę
Spał już i mruczał, że mu te motyle
Zasnąć nie dają: miał gorączkę, bredził.
Ojciec go, milcząc, długą chwilę śledził:
— Nic mu nie będzie — temu szaleńcowi:
Twarda snać dusza w takiem kruchem ciele.
Nie budź go: snu tu nigdy nie za wiele.

Zdrów jutro wstanie. I gdy mu kto powie,
Że wczoraj leżał tutaj, jak umarły,
Śmiać ci się będzie. Rekiny pożarły
Dawno chłopaka, co się połakomił
Na jego złoto — a ten się wygrzebie.
Ha, niezbadane wyroki na niebie:
Próżnobyś, człecze, myślami je gonił! —

VII.

Tej nocy zasnąć nie mogłam: przez ścianę
Nasłuchiwałam. Słowa urywane
We śnie wyrzucał: — Schyl się. . w prawo... belka!..
Ratuj!.. gdzie wiosło?... anioł... zbawicielka...
Tak mię nazywał. Boże, tej godziny
Czułam, że mój on, na wieki — jedyny,
Że między nami nić już zadzierzgnięta,
Co nas uwikła w niezerwalne pęta.
O świcie wyszłam na wybrzeża piaski;
Puszyste fale stopy mi lizały;
Na widnokręgu bielał żagiel mały;
Morze na wschodzie opalowe blaski
Brało od zorzy. Zadumana, senna
Stałam tak w białej oparów kąpieli,

Aż na sklep niebios wyjrzała promienna
Kula z purpury. W promienistej bieli
Tonęły szczyty granitowych złomów.
Było mi dziwnie lekko i radośnie,
Jak tej królewnie, co o wczesnej wiośnie
W doliny schodzi z kryształowych domów.
(Ojciec mi kiedyś opowiadał o tem).
Czas było wracać, bo już słońce złotem
Lało się w moje kosy rozpuszczone.
Idąc, rzuciłam okiem w chaty stronę
I zobaczyłam w oknie—jego głowę.
Wkoło, jak wianek, pukle ciemnopłowe,
Aż do ramienia. Słońce migotało
W nich skier tysiącem i mosiądzu tony
Z tej miękkiej fali włosów dobywało.
W bladoniebieskich oczach rozmarzony
Zadumy wyraz. Usta miał kobiety,
Z błądzącym na nich tajemnym uśmiechem.
Twarz cała ściągła, blada i cierpiąca.
Na czole biała przepaska—niestety,
Smutny znak rany. Czy to było grzechem,
Żem doń podeszła spłoniona i drżąca?...
Giestem przyzywał do okna i ze mnie
Wzroku nie zwodził; głęboko, serdecznie
W oczy mi patrzył. Tak błogo, przyjemnie
Było mi wtedy, że chciałabym wiecznie

Zostać tak przy nim i patrzeć w te oczy.
Milcząc, wziął moje ręce w białe dłonie:
Czułam, że jakoś w oczach mi się mroczy;
Wychylił głowę z okna; moje skronie

Splot złotych włosów musnął pieszczotliwie;
On mię ramieniem objął niecierpliwie;
Chciałam się wyrwać, uciec—zbrakło siły:
Coś mię do miejsca przykuło, związało...
Nie wiem: niechcący jakoś się to stało...
Że nasze usta—razem się złączyły.

Wyrwałam mu się, jak spłoszona mewa,
Pod ziemię skryć się ze wstydu gotowa,
Czułam, jak szkarłat szyję mi oblewa,
Jak pierś faluje, jak mi pała głowa.

. . . .

Dzień ten na długo w pamięci mi wrośnie,
Bo mię raz pierwszy upoił radośnie.

VIII.

Edgar (to imię nosił ukochany)
Tydzień pozostał jeszcze w naszym domu:
Był osłabiony bardzo wskutek rany,
I, choć się nigdy nie skarżył nikomu,

Czułam, że cierpi. Więc choć ojciec bokiem,
Jakoś niechętnie na gościa spoglądał
I podejrzliwem rzucał na nas okiem,
Jakby Edgara pozbyć się pożądał:
Tak przekładałam ojcu, że nie można
Pozwolić, żeby już do miasta wracał,
Że to byłaby rzecz poprostu zdrożna —
Aż przystał na to. I długie wieczory
Opowiadaniem cudnem Edgar skracał,
Późno w noc czasem kończąc rozhowory.

Ojciec, bywało, z fajeczki pykając,
Siedzi na ławie i naprawia sieci;
My przy kominie; ogień jasno świeci,
Snopami iskier naokół tryskając.

Jak w złotym wieńcu, płonie jego głowa.
Patrzy w ognisko — zaczyna w te słowa:
— Z ojczyzny — prawi — pochodzę Ossjana,
Ze starej Szkocji; na norweskie brzegi,
Gdzie skał granity bielą srebrne śniegi,
Uciec musiałem, bo serdeczna rana

Pobyt w ojczyźnie nieznośnym zrobiła.
Osiadłem tutaj — i Bóg wiedzieć raczy,
Czy wzrok mój kiedy dom ojców zobaczy!...
Tu się zatrzymał, jakby w nim odżyła

Ta ciężka boleść.—Dajmy pokój temu:
Smutne to bardzo.—Błagam nadaremno,
By mi wyjawił swych cierpień powody.
— Ej ty, promieniu jasny, świeży, młody,
Nie tobie smutków brzemię dzielić ze mną.
Lepiej rozsnuję przed oczęta twoje
Odwiecznych legend czarodziejskie roje:
O naszych sagach, co ongi skaldowie
Z podań składali, Edgar ci opowie.—
Zaczął. Mnie, prostą i głupią dziewczynę,
Wprowadził w jakąś bajeczną krainę
Duchów i karłów, elfów, czarodziejów,
Królów, rycerzy. Skandynawskich dziejów
Rozsnuwał przędzę. Pałace z kryształu,
Z tęczy budował. I tyle zapału
Drgało mu w głosie, kiedy opowiadał,
Jak Odyn w gmachu Walhalli zasiadał,
Jak z nim siadali za stołem rycerze,
Najwaleczniejsi, polegli szermierze,
Einheryjowie i z dzika słoniną
Ucztę kończyli. Potem boskie wino
Zastęp Walkirji na Frei rozkazy
Nalewał w złote puhary bez skazy.
Jak przy Odynie dwa wilki siedziały;
Jakoś się dziwnie one nazywały:

Geri i Freki. Mówił o Mimerze,
Co to mądrości źródła w raju strzeże;
O świętym gaju, co miał liście złote.
Glasur, pamiętam. Miałam się ochotę
O coś zapytać, lecz dalej prowadził
Powieść, jak jeden bóg z drugim się wadził;
Jak bóg poezji, Brage, miał runami
Język pokryty. Jak to tam przodkami
Normanów byli .. jakże to?... Assowie,
Co to i króle byli, i bogowie.

Mówił, jak jeden bóg, Thor, zda się, wojny
Zawsze wychodził, ciężkim młotem zbrojny.
Kiedyś znów sagę o Frithjofie prawił:
O tem, jak Wiking tak bardzo się wsławił,
Gdy podczas burzy rozbitka ratował.
Myślał, że rybak. A to tak się schował
Aegir, bóg morza, i w nagrodę cnoty
Dał mu Ellidę, okręt cały złoty.

To znów legendy brytyjskie powiadał:
Jak Artur w Walji, gdy do uczty siadał,
To z nim rycerze Okrągłego Stołu.
Ucztę dzieliła z Arturem pospołu
Piękna Ginewra, księcia tego żona,
W złocistej sukni, ślicznie utrefiona.

Ale najbardziej byłam zasłuchana,
Kiedy wspominał rycerza Trystana,
O Parsifalu mówił, Lohengrinie,
O Lancelocie i o tej dziewczynie,
Jakże się zwała?... Co to od Ereka...
Nie — poplątałam. Od tego człowieka
Tylem się pięknych nasłuchała wieści,
Że aż się zlękłam, czy w głowie się zmieści.

IX.

Dziś mi te słowa jeszcze w uszach dźwięczą,
Jaśnieją wspomnień tęczową obręczą.
Ach, jakże szybko ten czas nam przeleciał,
Jak wichrem losu zawistnym pędzony.
W puch moich marzeń pierścień się rozleciał
W dniu, kiedy Edgar rzucił nasze strony.
Z sercem rozdartem, bez ruchu, bez czucia
Stałam u brzegu, kiedy w czółno wsiadał,
Duszę mi ścięły złych przeczuć ukłócia,
I ból mi w piersiach głuchym jękiem biadał.
Odjechał. Snułam się, jak senna mara,
Sama nie wiedząc, czego mi potrzeba.
Żal jakiś czułam do jasnego nieba,
Że takie jasne; do ojca, że stara

Swoją pogodą ze mną się podzielić
I smutne oczy moje rozweselić.
Nawet do niego czułam żal tajemny,
Być może za to, że mi był wzajemny,
Że tak oplątał duszę moją biedną,
Że mi bez niego wszystko było jedno:
Czy ojciec wesół, czy smutny, znękany,
Czy morze ciche, czy szaleją burze,
Czy słońce świeci, czy się skryło w chmurze —
Wszystko mi było jedno. Żadnej zmiany
Wokoło siebie nie czułam od chwili,
Gdy mię Edgara mego pozbawili:
Gdy zniknął jasny mój promień różany.
W ostatni wieczór, kiedy mię zaklinał,
Bym dochowała mu święcie wierności,
Przysięgłam Bogu, że dla tej miłości
Poświęcę wszystko. Wieść mu była znana,
Że ojciec wydać mię chce za Kryszana.
Mówił, że na to nigdy nie pozwoli,
Że jednem pasmem cierpień i niedoli
Będzie dla niego żyć bez Heddy swojej:
— Wiem, że oporu ojca nie rozbroi
Żadna twa prośba. Więc za dwa tygodnie
W nocy przypłynę — i ze mną uciekniesz.
Bądźże gotowa! — Prawda: to niegodnie!

Ty, ojcze, ty mnie za to... może... przeklniesz!.
Lecz Edgar, Edgar tak mi drogi, miły,
Iż żyć bez niego nie miałabym siły!
. . . .
Cóżem ja winna, że mam jedno serce?
Czyż je rozerwać tak mogę na dwoje,
Skorom oddała całe serce swoje
Jemu?... Powinno należeć do ciebie,
Boś patrzył we mnie, jak w gwiazdę na niebie —
Lecz co poradzić, gdy w ciągłej rozterce
Rwie się do niego, niczem kwiat do słońca,
Ciągle, uparcie, bez miary, bez końca?!..
Święty Patryku! Ratuj mnie tej nocy!...
Co to?... Plusk słychać!... Czyżby już?.. O Boże!.
Coś majaczeje... Czółno... Tak się trwożę...
Dodaj mi siły! Nie! Nie!... Co tu robić?...
Ojcze, mój ojcze!... To cię może dobić!...
O, gdybym mogła zmienić się w opary,
Rozpłynąć, zapaść, umrzeć!... Słyszę kroki!..
Edgar, mój Edgar!... A tu — ojciec stary!...
Śpi, śpi — nic nie wie... sen go skuł głęboki!..
Ja iść tam muszę!..
Z okna się zsunęła
Do wnętrza chaty, jakby chciała zostać —
Lecz w chwilę potem jakaś ciemna postać
W oknie, jak nocne widziadło, mignęła.
. . . .

I tylko pluski nerwowe, naglące
Śród ciszy nocnej na wód toni drżały,
Budziły echa, w głębinach drzemiące,
Jakby fal szumem nad Heddą płakały.

X.

Hedda! Hej, Hedda!.. Znów czart jakiś wodzi
Dziewczynę. Pewno poszła na wybrzeże;
Teraz tak ciągle: chmurna, senna chodzi,
Jak foka. Patrzeć — gniew i litość bierze.
Hedda! Haloo!.. Niema jej nad morzem.
Czyżby w alkowie spała dotąd jeszcze?...
Niema... Przeczucia szarpią mię złowieszcze:
Porozrzucane sprzęty, pościel?... Co tam?...
Okno – otwarte? Sam zamknąłem wczora.
Czy mi się zdaje — czy piekielna zmora
Dusi mnie, że się, jak w gorączce, miotam?...
Tak — sam zamknąłem... Hedda!.. Czyś mi, Boże
Zmysły odebrał?... Ślad pod oknem oto...
Stopy... jej stopy! Heddy?!!.. Ha, sromoto!...
Tak — jej... i inne... i wiodą... na morze!
Nie!... Nie!.. – nieprawda!... To myśl chyba z piekła?
Ona... tej nocy... Hedda... mi... uciekła?!!...

Uciekła?... Ona?.. Hedda?... Ona?... W nocy?!...
Oo!... daj mi znieść to... daj mi... Boże... mocy!
Nie... nie! Sen chyba!... Hedda?.. Skąd?... Nie!... Ona,
Ode mnie, ojca, jak to bóstwo, czczona,
Onaby mogła?!.. Nie! Wstydby ją spalił!
Z tym wężem, com go od śmierci ocalił?!...
Ha, żmii synu! Ha, córko wyrodna!
Bogdajbyś zczezła, jak ta suka głodna!
Ja... ja psa tego przy ognisku swojem
Grzałem. Coś zrobił... coś ty... z dzieckiem mojem,
Z Heddą?... On odda mi ją! Ha, Ty, Boże,
Co masz pod sobą i wyspy, i morze,
Daj mi ją znaleźć — żywą, czy umarłą!
Choćby się wszystko na ziemi w proch starło!
Powiedz: gdzie Hedda? Gdzie jest? W której stronie?..
Może ją jeszcze na morzu dogonię?!..
Ratuj ją, ratuj! Ja już nic z rozpaczy
Nie wiem. Gdzie?... Powiedz!.. Heddy nie zobaczy
Już moja chata nigdy?... Oszaleję!...
Zostaw mi, Boże... zostaw... choć... nadzieję,
Daj radę!.. Milczysz?...
...I Tyś — Bóg litosny?...
Tamten — to inny! O, On mojej wiosny,
Mojego słonka, uciechy starości
Nie odebrałby... nie, nie! Ty litości

Nie znasz! Okrutnie wydarłeś mi oczy —
A teraz, kiedy ciemność mię omroczy,
Wydarłszy światło, Ty każesz mi patrzeć!
Hedda! Twych cząt w pamięci nie zatrzeć!..
Gdybyś Ty litość miał jaką nade mną,
To nie szydziłbyś ze mnie nadaremno,
Tobyś śmierć zesłał, nimbym się dowiedział,
Że w Heddzie, córce mojej — szatan siedział!..
Umarłbym cicho, będąc przeświadczony,
Że ona — jasny anioł nieskażony,
Czysta, jak lilja. Byłbym o jedynej
Los, umierając, spokojny dzieciny,
Pomnąc, że Stwórca, jako w Piśmie stoi,
Sierotę każdą przygarnie, ukoi.
I gdzie Swe serce litosne Ty miałeś,
Gdyś dał ją ukraść — a mnie żyć kazałeś?!..
Podwójnych cierpień zadałeś mi pchnięcia:
Daj mi choć za to — trup mego dziecięcia!
Tak — Ty mi Heddę wrócisz!.. Chciałem płynąć
Za nią i szukać; nie znalazłszy, zginąć.
Lecz teraz wiem już: nie ruszę się z domu:
Ona powróci, nie mówiąc nikomu...
Trzeba się na jej przyjęcie gotować...
Nie... nie chcę umrzeć: może pielęgnować
Potrzeba będzie... może będzie chora?..
Trzeba mi chodzić na brzeg co wieczora...

Na cyplu wyspy, na tym zrębie skały,
Będą ją oczy me wypatrywały...
O, ona wróci!...

. . . .

XI.

Już miesięcy cztery
Patrzę co wieczór na te morskie sfery!
Nic... nic nie widać! Co Hedda tak zwleka?...
Czyż nie wie, że tu Hamsun na nią czeka?...
Dziwy.. A taka biała zawsze we śnie
Przychodzi do mnie, patrzy tak boleśnie,
Jak ta ptaszyna zraniona. Kochanie,
Co ci to? Powiedz! Nic ci się nie stanie...
Maleństwo moje... Hedda!...

. . . .

XII.

Dzisiaj w nocy
Znów mi się śniła. To już sześć miesięcy,
Jak wzywa biedna ode mnie pomocy,
Ale już teraz — to, chyba, najwięcej...
Na wielkiej płachcie granatu leżała,

Na fali morza — i tak się bujała...
To niżej głowa... a to znowu nogi...
Blada... przejrzysta... cicho tak, bez trwogi
Patrzyła na mnie... Szklane miała oczy...
A ciało jakieś — za duże!.. Co zoczy,
Że na nią patrzę — we śnie się uśmiecha...
I znowu patrzy... i, zdaje się, wzdycha...
To znak... To dzisiaj Hedda, dziś powróci...
Dziś.. dziś napewno... ojca nie zasmuci...
Nie, nie zawiedzie.. Ona ojca kocha...
Dziś w nocy wróci... ta moja pieszczocha...
O już niedługo... Czas mi iść na skałę...
Morze dziś jakieś mocno rozbujałe..
Koło północy pewno się uciszy...
A teraz — baczność!... Wyraźnie coś słyszy
Ucho... Tak — prawda... To nie szum od łodzi:
O, nie... Hamsuna ucho nie zawodzi!...
Tam... tam... na prawo... płynie tak... coś w bieli...
Tak się kołysze... zupełnie, jak we śnie...
Hedda!.. A jak się uśmiecha boleśnie...
Co taka cicha w tej czarnej kąpieli?..
O, już... już blizko! .. W stronę chaty płynie...
Trzeba się schylić... przypatrzeć dziecinie...
Hedda!.. Maleńka!!!....

. . . .

. . . . Zazgrzytała skała,
Spadającego słychać łoskot ciała.
Żywy trup upadł na trupa dziewczyny.
Obydwa nikną w przepastne głębiny —
I wypływają. Hamsun ją za ręce
Trzyma. Twarz jasna. Po nadludzkiej męce
Nie znać zupełnie śladów obłąkania.
Przeciwnie: cisza, spokój zmartwychwstania.
Płyną przy sobie, jakby dwie siostrzyce.
. . . .
Ocean tylko wiedział tajemnicę
Zgonu Hamsuna: czy umyślnie z góry
Rzucił się w morze na trupa swej córy —
Czy mu się tylko poślizgnęła noga —
Aż tam — do progów Wieczności i Boga.

Druk W. Dunina i S-ki, Krak. Przedm. Nr. 17.